

Cena numeru pojedynczego

30

groszy.

Prenumerata krajowa kwartalnie 1 80 zł półrocznie 3 60 zł rocznie 6.- zł

Prenumerata zagran. kwartalnie 40 pól. 80 centów am.

Konto P. K. O. Kraków nr 406 000 Warszawa nr 153 210

Nr 14 (35)

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Warszawa — Kraków — Lwów — 15 lipca 1927 r.

Adres redakcji i administracji

Kraków
ul. Żybkiewicza
L. 5/7, m. 55.

Godziny urzędowe codziennie od 2—3

Oddz. w Warszawie
ul. Sienna 22 m. 26
tel. 136-95.

Oddział we Lwowie:
ul. Z. Chrzanowskiej
L. 10, parter.

Rok II.

Dyskobol szuka Myrona.

Bardzo często przeciwstawia się w ostry sposób obojętność mas dla sztuki i wiedzy wielkiej popularności, jaką się cieszy sport. Znane postacie sportowe określa się jako „bożyszcza bezmyślnych tłumów, które rykiem entuzjazmu roznoszą ich triumfy po świecie”. Jest w tem dużo słuszności, ale tylko do tego stopnia, o ile zamiast greckiego stadionu ma się do czynienia z chemś w rodzaju rzymskiej areny, o ile chodzi o sport traktowany zawodowo z całą dekoracją dolarów, reklamy i rekordów, stanowiących cel sam w sobie. Natomiast sport w czystej formie jest niezaprzeczenie najszlachetniejszym ujęciem sił żywotnych, jest to opiewana przez Greków Katarsis — oczyszczenie, które podnosi ćwiczenie fizyczne do rzędu misterjum, a przez jego zupełną bezinteresowność stawia sport obok sztuki.

Nikt nie może zaprzeczyć przedewszystkiem moralnej wartości i pożyteczności tych nieustannych wysiłków ciała i woli, tego żelaznego treningu i ciągłej zaprawy w opanowywaniu organizmu, które składają się na tworzenie ludzi silnych nie tylko fizycznie ale i moralnie, choćby dlatego, że łatwiej człowiekowi silnemu, mającemu poczucie siły fizycznej i siły woli, być dobrym, niż temu, którego wiotkie mięśnie i woskowa wola czynią igraszką otoczenia. Jeżeli ze sportu usuniemy takie zasadniczo mu obce tendencje, jak t. zw. przygotowanie bojowe, staje on się szkołą ludzi silnych fizycznie i przez poczucie siły woli — silnych moralnie, ludzi silnych i dobrych, którzy w poczuciu swej siły nie potrzebują poniżać się do stosowania środków moralnie małowartościowych, środków, jakimi bronią się stabi. Pomijamy już tutaj fakt, że samo

życie coraz szybsze, o coraz bardziej nagłym tempie, wymaga przystosowania się w formie wytworzenia coraz zdrowszych ciał i coraz zdrowszych nerwów.

Niemale znaczenie ma sport pojęty tak, jak powyżej, dla rozwoju idei zbratania narodów. Internacjonalność związków, zawodów i poczyniły sportowych może być uważaną przy umiejętnem kierownictwie za duży krok do zrealizowania tej idei. Winniśmy chyba sobie życzyć, aby narody wyładowywały nadmiar nagromadzonej energii w walce na stadionach olimpijskich, ażeby ambicje ujawniały się w szlachetnem współzawodnictwie sportowem, a nie pękały zatrutemi wrzodami wojen. Na tem polu dużo zdziałać może zwłaszcza sport robotniczy. Jakże piękne stanowisko zajęło jedno z polskich robotniczych pism, którego sprawodawca w Pradze, cieszy się przedewszystkiem z

samego faktu istnienia tak rozwiniętej kultury fizycznej wśród robotników i ze znaczenia sportu robotniczego dla propagandy hasel międzynarodowego braterstwa, a dopiero na drugim planie stawia rekordy, jako rzeczy mniej istotne. „Record-man”, dla którego rekord jest sam w sobie celem, to obraz sportu wytworzony przez świat kapitału i wolnej konkurencji, sport robotniczy natomiast, jako mający wprowadzać w czyn hasła międzynarodowego braterstwa, winien stać sportem masowym, sportem rozwijającym poczucie zbiorowości i siły zbiorowej, przywiązanie do demokracji przez fakt wolnego dla każdego człowieka dostępu do stadionu, a nie wyłącznie kult moralnego bluffu kult rekordów.

Sztuka może mieć niemałe znaczenie dla wydobycia ze sportu tych najszlachetniejszych, tkwiących w nim wartości.

Niestety do dziś dnia sport w sztuce nie zajął ani w drobnej części tego stanowiska, jakie posiada w życiu. Oczywiście, że zagranicą jest pod tym względem o wiele lepiej niż u nas. Francja posiada swojego Montherlanta, poetę noszonego niemal na rękach zwłaszcza przez młodzież. Odbywa się tam nawet renesans starych, pogrzebanych autorów, którzy cośkolwiek wspólnego mieli ze sportem. W Niemczech istnieją już publikacje, omawiające szeroko stosunek sportu do sztuki. Tej wiosny urządzono w Berlinie wystawę malarską, poświęconą wyłącznie twórczości „sportowej”. I oto recenzent, omawiając tę wystawę, przyznaje wprawdzie, że obeszano ją bardzo obficie i że eksponaty są wartościowe, niemniej jednak narzeka, że związek między sztuką a sportem jest jeszcze zbyt luźny i powierzchnowy i nawołuje do pogłębienia

tego zagadnienia, aby sportu nie traktować tylko jako tematu wyrażonego starymi środkami, lecz znaleźć nowe środki wyrazu, aby sport i sztukę stopić w nową całkiem syntezę. Szczęśliwi Niemcy, że mają na co narzekać. U nas pod tym względem jakże niewiele! Jedyny Wierzyński, który może być brany poważnie.

Nie zdajemy sobie może sprawy, jakie skarby emocjonalności kryje w sobie sport, ile niewyzyskanych dotąd psychicznych stanów, świadomych i podświadomych wytwarza, jakie nieprzebrane żniwo czeka tu poetę czy prozaika. No — a dla plastyka? Przecież już czas zasunąć kurtynę na erotyzm! Czas na akt męski właściwymi środkami traktowany. Przedziwny rytm i harmonja ciała biegacza, klasyczny krąg dyskobola, nerwowy takt ringu bokserskiego, kolorowe gasienice — kolarze rozplaszczeni na błyszczących rowerach, dudniący chrzęst kopniętej piłki, ciała pływaków błyszczące oślizgłą wodą, hymn skoku z trampoliny — oto poemat współczesności.

W okresie romantyzmu księżycowy młodzieniec naklejał blade marzenia na tarczy srebrnego globu.

Dziś oknął się dyskobol i pochylony gotuje się, rzucić srebrny dysk księżycy — w słoneczną powódź pozłocistej areny.

Spojrzenie na rzut srebrnego kręgu mł- rzeń w złość słonecznej realizacji!

Dyskobol pół kręgu zatoczył plomieniem oczu.

Pół horyzontu płonie wśród trzasku okłasków.

Dyskobol szuka wzrokiem — Myrona.
T. K.

Jadeusz Rudliński

Ci, którzy w przejściu przez Karpaty.

(Gawęda).

Austriacka bateria armat Nr. ⁸/₁₄ dała się zaśnieżoną karpacką drogą. Nagły wy marsz na front południowy! Lodowaty śnieg bił kolcami ostrych drutów i siekł policzki wymożone górską wichurą. Milczeniem obwisło szare niebo, a obłoki pomieszane z mgłą wily się po zalesionych czubach i lysych wierzechołkach. Gruby dywan miękkiego śniegu otulał szczerlinie wszystko tak, że sterzały tylko zamarzłe, czarne plamy lasów. Droga wiodła między dwoma ubitemi wałami śniegu na chłopa wysokości. Zbudowana przez żelazną cierpliwość niemiecką ze świerkowych dyli, włókta się głębokim jarem o niebosiężnych ścianach, aby nagle śmiałą serpentyną wspiąć się na wyniosły, trzęmiący w chimurach Kopitisz.

Poteżne masywy armat, otulone troskliwie w pokrowce, płaszcze i czapki, wysmarowane i obżarte tłuszczem, podskakiwały niezadarnie na wystających dyłach: Pochyło ne wprzód sylwety końskie napinały postonki za każdym świstem nahańach. Obsługa skulona, z rękami wciśniętymi w kieszenie i za pazuchy, z czapami na uszach, włókta zdrtwiała, przemarznięte nogi. Długi wąż baterji moźolnie przewijał się przez śnieżną zawieję. Pochód zamykał wóz okryty płótnem, i przeładowany bagażem oficerskim. Tu królował Walenty Kozioł, słuczacy oficerski w baterji armat Nr. 14.

Nizka i szeroka postać Kozła dźwigała na szyji wolem obarczonej, kwadratową, dużą i ciężką głowę, o małych, spłowiatych oczkach, dziobatym nosie i cienkich, konopia stych waskaskach. Po piegowatem obliczu rozbiegły się zmarszczki we wszystkich kierunkach.

Kozioł był wściekły. Nie cierpiał marszów. Dziś w dodatku tłuł się z pustym żoładkiem, bo kawa przepadła w pośpiechu. Kawa zawsze, bez względu na to, czy była kawa, czy nie, miała dwie oczywiste zalety: była gorąca i słodka.

Kozioł kłął. Hej! Gdzie to ten czas, kiedy bateria grasowała w „Rumuńsku”. Pobite Rumuny wiały za dziesiątą górę, a broda Kozła śniła się od tłuszczu. Hej! Rumuńskie dziewczęta, cykanki urodziwe i wino i rum... Gdyby Kozioł był inteligentnym człowiekiem,

używałby może nazwy: „Romania felix”, ale że był człowiekiem prostym, wspomniał tylko z czułością „Rumuńsko”. Cesarskie było tam życie. W drewnianej skrzynce chował przyzłepione papierem do brudnego dna złote pierścionki, kolczyki i różne drobiazgi. Nadarzało się to juści, brał — głupi przecie nie był.

A teraz było ciężko. Nawet gulasz z końskiego mięsa gotowany na ogniu pokrywionu w wiadrach do pojenia koni zdarzał się rzadko. „Menaż” jałowa i licha. Bóg wie, gdzie droga prowadzi. Powiadają na „Talljana”.

Przystanął, odkorkował manierkę z rumem. Od zimnego alkoholu zaraz rozcho dziła się ciepłość po całym ciele i miły zamęt w głowie.

Otrzeptał się trochę ze śniegu, zabił ręce i maszerował dalej.

Przebiegał palcami w bucie, w którym chlupała woda i myślał, że trzeba będzie wyciągnąć ostatnie rumuńskie trzewiki i ciepłe onuce.

— Jaworski, a co to macie za konia pod ręcznego?

— A oddałem Koźę do luzaków, no żrebna. Dali tego kasztana. Zoltowaty. — Wiśta! —

— Koza to ta czarna kobyła?

— A jakże. Stara już lupa, ale jeszcze potrafi, jak chce...

— To się ma żrebić? Na tym mrozie, — no — no.

— E może temu strzyma jeszcze parę dni. A bo też zima — zima. A nie macie tam czego na rozgrzywkę?

— Ale gdzieś. Pusto wszędzie. —

Kozioł zasadniczo wsparć nie udzielał. Z nim się też nikt nie ciackał. Głód zresztą ludzka rzecz.

Śnieg ciał coraz dotkliwiej. Mrok szybko gęstniał. Sylwetki ludzkie i końskie krzęły w ciemne plamy, porysowane skośnemi szramami tnącego śniegu. Twarze oskorpuiły zlodowaciały śnieg. Bateria włókta się ostatnim wysiłkiem przez płaski grzbiet nieledwie wśród chmur. Ponury, szary okap nieba leżał mdło na białych płaszczyznach przecinanych czarnymi sylwetkami drzew, które niktly w śnieżnej kurzawie i popielejącym mroku. Grzbiet skończył się szczęśliwie i bateria waliła w dół ostrą serpentyną. Miejscem postoju był zagrzebany w górach punkt etapowy, rzucony rozkazem w zapadłą karpacką dolinę, biegnąca wespół z bystrym potokiem wśród zalesionych ścien.

Kucharz ogromną chochlą chlastał porcje

kaszy z mięsem do podstawionych menażek. Mimo wszystkie ostrożności, Kozioł „fasował” dwukrotnie i obstawał stanowczo przy tem, aby kucharz głębiej zanurzał chochlę.

Na drugi dzień trza się było zbierać do odmarszu.

Zatrzymali się jeszcze na chwilę, bo się ta stara Koza w nocy ożrebiła. Miała małe, kosmate i nędzne żrebiątko. Kozioł z ciekawości poszedł zobaczyć.

W ostrym fetorze stajni i półmroku zimowego ranka, leżało z nieprzytomnym wyrazem oczu, olśnionych światem, z podwiniętym cienkimi nóżkami i drżało z zimna. Stara klacz miłośnie wyciągała ku niemu ciężkie łbisko, rżąc cicho, że tylko jej nozdrza latały. W chłopię coś się nagle ruszyło. Przełknął ślinę i patrzył.

Jęło się dźwigać na słabe nóżki, zatoczyło błędnie małym zadem i stało, dźwigając z trudem ciężki łeb.

Kozioł przykucnął. Klacz położyła uszy po sobie i jęła bić zadem.

— Widzisz ją, jaka nagła.

Żrebię posuwało się ku matczynym sutkom, sięgając wyciągniętą szyją pod rozdytą brzuch, po ciepłe mleko. Ssało natarczywie, mamlając bezzębnie, aksamitnemi wargami.

Kozłowi przypomniało się, że kawa przepadnie. Machnął ręką. Zaprzętała go ważniejsza sprawa.

Oto chcieli kobyłę zostawić z przychowkiem w etapie, ale było to trudne. Prusacy kiwali odmownie głowami i śmiali się. Konie mieli smoki mocne w sobie. Więc cóż robić? Palnąć małemu w łeb — niech się nie męczy. Wojna. Żarcia dla koni nie sporto.

Żrebię ssało spokojnie.

Kozioł słuchał i powoli zbierała w nim pasja na te gadania. Począł warczeć przez kity wąsów.

Do stajni wpadł komendant baterji. Nie marudzić! Kozioł rzucił się ku niemu.

— Jakże to — panie kapitanie — jakże to? Na zimno — na głód — takiego chuch-raka? — jakże to — jakże?

Komendant machnął wściekle ręką i wypadł ze stajni.

Trzasły ostre słowa komendy i trzasły batogi. Konie krecły się przy wsładaniu, dźwięczały strzemiona, dudniały głucho jaszczce i dzwoniły łańcuchami i żelazimien działą. Bateria ciągnęła w śniegu wałącym gęstą, mokra kurniawa.

Kozioł wypadł ze stajni i kopał się przez puszysty śnieg.

— Jaworski! — zajeżdżajcie no tu — hej!

Skrzypiący wóz podjechał pod stajnię. Wypchany był tak ściśle bagażem, że płótno leżało na kantach kuferków, jak skóra na żebrach. Kozioł dał zapamiętałe walizy i tłumoki, przerzucił paczki, ciskał plecakami. Zrobiło się niewielkie miejsce w tyle wozu. Poleciał zwałdzik Prusakom naręcz siana i zasapany mościł ciepłe gniazdo.

Jaworski cisnął się. Brakło dla niego miejsca — piechota nie pójdzie.

— Wy mi tu nie mędrkujcie. Lice w garść i piechty”. Kozioł wam to mówi! Zresztą macie tu manierkę, a i słoniny kawał —

Obaj z Jaworskim weszli do stajni. Kozioł przyrzucił żrebię dera i przycisnął do piersi, wtaszczył do gniazda. Ze wszystkich stron poobtykał, żeby nie wiało. Kobyłę uwizał na kantarze do literki. Jaworski śmignął batem i klasnął parcianemi lejcam.

Walenty Kozioł pierwszy raz w wojskowej karierze miał „osoboiście” plecak. Już po pierwszym kilometrze czuł zimną rosę na czole. Niedługo mokra koszula przykleiła się do grzbietu i poczuł brak tchu. Zaciął żeby i utapił się za podkulkę — dla pewności. Nagle wóz przechylił się groźnie.

— Uważaj Jaworski! — pysk ci rozbije!

Trzymał na sobie przechylony wóz i brodził w rowie zasypyanym śniegiem.

Dognał wreszcie baterji. Co chwilę ktoś przyzostawał, żeby spojrzeć na żrebię. Na ludzkie serca padła odwilż.

Kozioł był zazdrosny.

— Widzicie ich — litościwe serca. Teraz to każdy zaziera, jakbyim gołą dziewczynę wioził.

Śnieg rzedniał powoli, aż w końcu przertała się przez chmury słoneczna bladeść. Świerki i jodły przywalone galonami miękkiego śniegu i skrzaca osędzieliżną, przystanęły cichutko, żeby nie stracić okiści.

Wóz przystanął. Na rozpostartej derze, okryte płaszczem stało żrebię koło matki i ssało aksamitem warg. Kozioł tajał od wewnętrznej radości i świecił rozradowana gębą jaśniej, niżli iskrząca baśń śnieżnego karpackiego krajobrazu.

Dobili się w końcu do stacji. Przy rampie leżał milczący wąż wagonów. Zaczęło się wagonowanie. Stukoty, pokrzyki, brzeki i rżenia wsiąkły powoli w wagony. Na otwartych platformach czerniały ciężkie kształty armat i zmarnięty posterunek stukając obcasami. W kacie końskiego wagonu chrapał Kozioł z żrebięciem pod jednym ko cem.

Pociąg postekiwał i turkotał monotennie. Błady, niewyspany poranek saczał się mdło przez zakratowane okienko. Kozioł przyrzucił żrebię jeszcze jedną dera i wyrztał na świat. W szarzyźnie świtu uciekały i ginęły spłoszone słupy telegraficzne, druty harmonijnie sunęły w dół i w górę — w dół i w górę — wyskakiwały i uciekały w poplochu domy i osiedla i krecły się niepojętym ruchem linje bruzd, dróg, rzek i strumieni. Czasem z zdławionym krzykiem-westchnieniem przeleciał przerażony most.

A pociąg rozgadał się. Rozgadały się osie między sobą i koła i resory i wszystko roztrzęsione gadało, płoło, mello bez przerwy. O czym? — O czymże-by — o wojnie. Chrząszczące, brzęczące i stukoczące słowa, osi, kół, resorów i zderzaków układały się w epopeję wojny o zwrotkach zgjętych na zwrotnicach i rozciągniętych od jednej stacji do drugiej, o rozdziałach rozwieczonych od wschodniego do południowego frontu. Kozioł rozumiał i taką mowę. Ale nie słuchał — ziewał. Wojna — nic nowego — zwy czajna rzecz. Zagrzebał się w siano i jeszcze raz zasnął.

Tlukli się tak od stacji do stacji, suwali ich na północ, na południe i na wszystkie świata strony. Żrebię trzymało się doskonale.

Nareszcie jednej nocy wyrzucił ich pociąg na małej stacyjce pod Triestem. W zaspionej dali obwisł front. Niedomówiona wojna snuła się w porannych cieniach.

Przywitało ich ciepłe słońce i bujna zieleni. Przywitały ich drogi rozmielone kołami ciężarowych autobusów i wioski słoweńskie z białymi, kamiennymi domami o zielonych okiennicach. Przywitały ich morwy rozkwitłe i krepce łoży winogrodu i z oddali zielonkawo-siny, zapieniony Adriatyk, ściśnięty w skaliste cęgi zatoki.

Kozłowe żrebię wychuchane, wyniańczono, rosto szybko. Płatało się beztrosko, klepane, głąskane i hołubione. Kosmate było wprawdzie i brzydkie, ale każdy żołnierz baterji armat ⁸/₁₄ uważał je za najpiękniejsze pod słońcem. Cieszyło się względami wszystkich od półdzikiego, węgierskiego człkosa — do komendanta, wyglansowanego wiedeń- czyka, od grubego kuchtę Rusina do czarnego żydka sanitariusza. Co więcej: gdy o innych powiadano: „to ci, którym maraz dziecięciu zabiło”, lub „to ci, którzy mieli eksplozję w łufie” — o baterji armat ⁸/₁₄ mówiono: „to ci, którzy wyhodowali żrebię w przejściu przez Karpaty”.

Choraży niezłomny.

Mistrz słowa... nie, to mało! i zupełnie czem innym jeszcze był Juliusz Słowacki.

Trzeba się wyczuć w pisma i listy poety z ostatnich lat życia, aby to dobrze zrozumieć. Słowacki bowiem, tak dumny niegdyś z pierwszych prób swego talentu, później wstydził się ich i niedwuznacznie wyrażał^{*)} chęć przekreślenia całego swego młodzieńczego dorobku, pocając natomiast gorąco pamięć potomnej Polski najpóźniejsze swe dzieła.

Abby je pojąć, trzeba znać także historię ruchu Towiańczyków, a zwłaszcza początków ich działalności w Paryżu. Wpływ Towiańskiego był dla obu wieszczów naszych tem pierwszym pełnięciem, które ich zwróciło ku źródłom własnego życia wewnętrznego, wywołało najgłębszy nurt ich twórczości. Od tej pory zaczyna się u Słowackiego okres niezłomnego spokoju ducha i szczelności, niezależnej zupełnie od zewnętrznych kolei losu, a także okres najistotniejszej pracy Jego żywota.

Do niego musimy sięgnąć, aby ta bogata spuścizna stała się naprawdę naszą własnością. Te sześć lat, to **właściwe życie** Słowackiego — wszystko inne było jedynie tłem, przygotowaniem

Autor Balladyny, Mazepy, Podróżu na wschód, Kordjana nawet, będąc bezwzględnie chlubą literatury ojczystej, mógłby jednak spokojnie pozostać na cmentarzu Montmartre, ale twórca Króla Ducha, Genezis z Ducha, Księdza Marka... musi spocząć na Wawelu! A przedewszystkiem tam jest miejsce zbuntowanego ucznia Towiańskiego, samotnego obrońcy polskiej dumy — tego, kto wniósł do „Koła braci” uroczystą protestację przeciw „ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem”.

Każdy kierunek rozwoju ma właściwe sobie niebezpieczeństwa i pokusy: duma może prowadzić do pychy, pokora do upodlenia. Towiański, odczuwając silnie, że nienawidzi ku wrogom niegdyś się, poszedł duchem chrześcijańskim całym pędem drogi skrajnej reakcji przeciw temu samobronnemu uczniu. Uczniowie podjęli ten „ton” bez oporu. Zapatrzeni w nakazy Ewangelii, przebaczyli krzywdy nie tylko własne, ale i narodowe. I więcej — zdołali nawet pokochać krzywdzicieli, lecz miłością dziwnie jednostronną, niecierpliwą i natrętą.

Charakterystycznym przejawem tego neopanowania było nabożeństwo żałobne w 14-ą rocznicę powstania, nabożeństwo **prawosławne** urządzane przez emigrantów naszych za dusze poległych Rosjan. W ten sam dzień odczytał Adam Mickiewicz na publicznem zgromadzeniu pismo Towiańskiego, wysłane do cara. Oto ważniejsze zeń wyjątki:

„Wszystkie ludy pokolenia słowiańskiego obdarzone są skarbem bożym prostoty. Dno duszy słowiańskiej zachowało się dotąd w czystości. ...Słowiańskiemu pokoleniu powierzony jest sztandar Jezusa Chrystusa, a sztandar ten, niesiony przez ludy urdu Słowa, powinien z czasem powieść na całym świecie... Słowo, które się ma iść, to słowo... wola ludy słowiańskie do ich powinności. Wszystkie one zacząć winny wielkie swe życie, a życie to ma być tylko rozwinięciem kosztownego ich zarodu, musi być tylko życiem Słowa, praktyką Słowa...

Już przeszłość słowiańska, obciążona **wzajemnością ludów tych krzywdami, stanęła przed Bogiem. Pamięć ich już schodzi z ziemi i zniknąć winna z dusz naszych.** Nie do braci to należeć, sądzić swych braci: czas przyszedł, w którym winni wszyscy zjednoczyć swe wysiłki w jednym wielkim, a wspólnym interesie osiągnięcia celu, jaki im Bóg od dziś dnia naznacza. **Rewolucje nie powiodły się Polakom,** obrócili oświecenie przeciw tym, którzy je podnieśli, bo im większy jest naród jaki... im więcej skarbów bożych, płomienia Chrystusowego posiada, tem świętsza ma być powinność jego, karność Słowa i tem **większe za niekarność cierpienia.**

Dusza twoja, Najjaśniejszy Panie, jest wielka. Zbawienie milionów powierzone tobie... Pro-

*) W listach do matki.

**) Przez naukę Towiańskiego.

wadząc tyle ludów słowiańskich, berlu twojemu poddanych, ty dziś **jestes narzędnikiem woli bożej największej na ziemi.** Jeśli usłuchasz, N. Panie, wezwania bożego, **poddani twoi, wierni Bógu,** poświęcając się myśli bożej, w tobie złożonej, **poświęca się dla twej wielkości,** dla szczęścia twojego.

Temu nowemu charakteru uczuciami słowiańskimi są już ludzie przeniknięci; tymi są ci z Polaków-tulaczów, którzy przyjęli Słowo boże.

N. Panie! raz z **ojcowską dobrocią** słów tych wysłuchaj — nie obrażaj się tem, co jest tak nowem w tej mowie, co jest pletnem nowego charakteru Słowiańskiego, który się teraz w całej swej wielkości rozwijać winien. Nie odrzucaj owoców ofiary, w jakiej się Polacy oddają dla dobra ludzkości, narodu bratniego i Twego.”

Być może, że była to naiwna próba nawrócenia cara na Towianizm... Jakże cel, jednak oczyści i uświęci takie środki, jak nazwanie powstań naszych „niekarnością”, a ich ciemności „wielką duszą”, do której „dobroci ojcowskiej” odwołać się można?!

Tu właśnie rozszedł się nazawsze drogi Słowackiego i dawnego jego mistrza. Nietylko, że usunął się sam, ratując własną niezależność duchową — ale, rzecz można, nieistniejącą na swej piersi czysty sztandar, którego tamci choć najczystszymi intencjami kierowani w zaślepieniu się wyparli.*)

Teraz, uczony wielką ducha odnową, lecz nieugięty pewien swej słuszności, tak do niego przemawia (w liście z jesieni 1844 r.)

„Bracie Adamie!

Przypominam ci, że przyjęty za brata w kole waszem, przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mnie bratem być wyznał, w dniu 1 X. 1844 r., listem do koła braterskiego pisany nie wykreślił się bynajmniej braterstwa, ale dążności rosyjskiej, która msze i nabożeństwo publiczne za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei poddyktowała.

Przypominam, że jako pierwsi, tak i teraz **veto moje, niezdyte z koła, trwa na wieczność,** a tem samem czyni nieprawdę i bezskuteczne-

*) W owej chwili zagroził Słowacki nad Mickiewiczem, bystrością wzroku, czujnością duszy, mocą woli.

Jakby przewidywał, był ów moment niegdyś, wołając:

„Bóg mi obronie przyszłości poruszył...

... a sąd zostawię wiekom!”

**) Niemniej ostro, niż Słowacki.

*) Akt ten w wyjątkach ważniejszych przytaczam.

mi wszelkie kroki, które koło w tymże duchu, łączącym nas z Rosją, przedsiębiorze.

I żądam, aby ta **nowa protestacja przeciwko ugięciu ducha polskiego przed cesarzem Mikołajem** zakomunikowana była w kole dla wiadomości. Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla **ratunku ducha Ojczyzny mojej.**

W braku aktów, do których bym mógł wnieść tę protestację, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat Juliusz Słowacki.

Nie oddzieliła wówczas dusza Brata Adama a ów ton wysoki: trzeba było dopiero dalszych bolesnych doświadczeń, by i u niego omdlał się protest wewnętrzny przeciw truciźnie. W 1847 r. dopiero mówi on do zgromadzonych braci:

„My z Rosją nie nie zrobimy, mówią jej o słowiańszczyźnie, o miłości, o zlanu się Słowian...”

A w kilka miesięcy później, pisząc do dawnego Mistrza, stawia mu ciężkie zarzuty o tyranie duchową, potępia^{**)} metody pracy: „Brano kapcie z ducha bratniego, odejmowano braciom ostateczną wolność, wolność milczenia”.

MARJAN SEWI.

Do Władysława Orkana.

Pójdiesz aleją buków, których dziś już niema. Grzbieciem porekłej przełęcz, nocą księżycową. Znow Ci się skarżyć będą wycięte, skrzywdzone drzewa.

Pradawne drzewne sprawy będziesz wazył w myślach na nowo.

Znowu usłyszysz powolne, złowrogi skrzypienie wozów.

Uwołniasz w doliny puszcze powalona. Złienawidzisz toporów ciężkich żmudny mozoł. Zły będziesz, gniewny, gorzko rozczłony.

Znowu wzrokiem ujrzyś tęskniącym narady zwierza trwożne.

Przysięgi patetwa, wywiady, ucieleścił gromadne, tłumne.

Śmierć nieubłagana... I znow nie pomyślisz dumnie.

Że puszcza Twoja żyje — i że już umrzeć nie może!

ODEZWA!

Jego dzieł, zorganizować wystawę pozostałych po wielkim poecie patriotę, by tą drogą przypomnieć dzisiejszemu społeczeństwu, a głównie młodzieży, twórczość Wieszcza, ukazać piękno

JAN SZTAUDYNGER.

Ścieżki.

Chodzą ścieżki swoimi drogami.

Pod drzewami i pod oknami. —

Waleś się tu i tam oknami. —

Koło płotów, koło bram.

Spotykają się, to gubią.

To uciekają, to się hołubią.

Trwonią dużo czasu,

Zaszyły do pola — do lasu.

Aż świat schodziwszy daleki,

Włożyły stopy do rzeki.

Tam chłodna, zmywają kurz,

Obmyślają nową podróż.

A tymczasem, gdy on tyłu duszom ufny dotąd produkuje, w niewoli tej sam jeszcze jeżał, w pismach emigracji pojawia się w 1846 r., publiczny tym razem akt, podpisany znów przez Słowackiego.*)

„Do koła całego tak nazwanych Towiańczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza:

Powołując się na veto i zaprzeczenie z ducha mojego, w dniu... położone, przeciwko dążności rosyjskiej, która się wtenczas już w kole braterskim pokazała — przekonany nie marnymi głosami, ale aktem publicznym pułkownika Mikołaja Kamińskiego, podanym do Koła... że dążność ta rosyjska, przeze mnie zaprzeczona i zatamowana... (pomimo zaprzeczenia tego) doszła do ostatecznych granic hańby i upodlenia, plamiąc (i hańbiąc) ducha ludzkiego, zaprzędam się woli nych ludzi w poddaństwo. ...poddaniem się ducha polskiego cesarzowi Mikołajowi... który otwartych nieprzyjaciół srogo, a zdradę ze wzgardą traktuje.

Zważając, że braterskie moje veto, w bolesci serca, a bez ogłoszenia publicznego położone, nie tylko że nie zwróciło braci moich na drogę prawdy i miłości, ale owszem, zatajone przed Kołem, widzialnego skutku pozbawione przez dwa lata, w samym tylko świecie ducha sprawy polskiej broniło, i dopiero w dniu 29 listopada, jakby cudem bożym wywołane, przed nami w osobie pułkownika Kamińskiego zmartwychwstało i hanbiąc Polskę i siebie, w poddawaniu się cesarzowi Moskwie przerażało, ale nie zatrzymało.

Oświadczam, że **veto moje, niezdyte z Koła,** ciągle duchem trzymane i teraz ponowione, zostaje nadal kamieniem w kole i murem z ognia, które to koło pod osłoną tajemnicy, strasne i ohydne rzeczy czyniące opasuje...

Powołując was wszakże, jako braci, z miłością i upragnieniem, na drogę czystą bożą, obiecując wam miłość braterską, jeśliście się wrócili z tej drogi, na którą was okropny podstęp ludzki i długo pracująca nad wami siła złego ducha zaprowadziła.

W przeciwnym zaś razie przeznaczając to veto moje, aby było wiegłym kamieniem i podstawą dla ludzi czystych i wysokich w Bogu, którzy za **hańbą ojczyzny i duchem jej nieśmiertelnym** ujmą się, w **spócie będąc ze mną, choćby umarli** — i prosząc Boga, aby ducha, w jakim to veto moje czynię, osądził i według osądzenia swojego spełnił, lub odrzucił.

Nie więcej, nad wolę jego łaskawą nie mając na widoku w tym akcie moim, który jest najboleśniejszym aktem życia mojego.

Abby zaś prawdość jego nie była zaprzeczona, powierzam go przyjacielowi mojemu Józefowi Rejtzhenhaymowi, który, jako polski i szlachetny niegdyś obrońca Ojczyzny, dobrawszy sobie dwóch świadków, akt niniejszy w same ręce zastępcy Mistrza złoży i zdajwszy kopiją onego, podpisem 2 świadków stwierdzoną, kopię takąową w pewnym miejscu zachowa i **przy zdarzonej okazji w pierwszym grodzie polskim wnieście i oblatuje,** ostrzegając was, że, póki w ciele, na ziemi ciałem i duchem, a po śmierci duchem i boską **jego istotą bronić będę z aniołami piekniemi.**

Ukończenie woli bożej, która przez Towiańskiego głoszone za principium, a przez uczniów przyjęte, jest w zasadzie dobre, ale zgubne co do czasu: jakoż przekonał się człowiek, że powinien ukończać wolę bożą, możesz mu potę, łatwo mówić dogmatycznie, że wola jest Boga, aby Polska nie egzystowała. Trzeba więc człowiekowi pokazać ostateczny cel, który jest wolą bożą na ziemi, a potem zostawić go z Bogiem, **nie wiodąc do Boga przez cesarza.**

Powzajem zarazem to przekonanie, że ta prawda była nie przez materialną siłę, nie knutem wbita w ludzkość, ale spokojnie, przez samo anielskie rozjaśnienie świata, powinna go zdobyć.

Anielstwa tej prawdy, jak sądzę, przeznaczonoj dla Polski, dla przedsięgo wykonania nie unię przed żadną materialną siłą; **zostaje więc bez nadziei widomego zwycięstwa,** nie mając ani jednego człowieka, któryby, jak ja, widział nie zgaśnię na świecie chciał i być startym, w **przekonaniu, że będzie zwycięzca po wiekach...** Gdy więc przeciwnicy... gotowi są poddać się każdemu z mocarstw ziemskich, i ufając jedynie w opość, która im da materialną siłę świata i ręce ich knutami uzbroi — ja te spokojność zupełną, a bez żadnej nadziei trzymam, **oddaję się w ręce Boga,** przysięgając nigdy z wiedzą, żadnego fałszu za broni i za narzędzie nie użyć, ale **samą czystą prawdą i miłością wojować do końca i po końcu widzialnego istnienia ducha mojego...**

Któż przy mnie stanie, albo kto większy przydzie, abym u nóg jego mógł złożyć to ciężkie **brzemie,** które nie brzemieniem jednego człowieka, ale brzemieniem całej ojczyzny mojej być powinno? Kto mnie uwolni i kto mi da wypoczynek? Muszę wolać słowami psalm Dawida: kto mi da skrzydła, jak gołębiczy, a wznieść się i polecę... albowiem srogo jestem udręczony męczniestwem tej świętej idei, fałszami, z którymi weszła w traktaty, splamieniem i hańbą jej, której się dopuściła na duchu ludzkim, przyprowadzając go do stanu **najwyższego helotyizmu,** bez litości będąc dla biednych duchów, które, że tak powiem, **knutem ducha i ciągłej egzaltacji, pozbawiła ludzkiej godności** i zamieniała w obłąkańców, którzy są już wszelkiego podobieństwa wizerunkiem Chrystusa Pana pozbawieni.

Oto jest utysk mój i skarga moja przeciwko braciom; przed oblicze świata zaniesioną, to jest srogię oskarżenie moje przed narodem. Nie o zwyczajną zdradę, ale o zdradę ducha narodowego oskarżam duchy tych ludzi, o lekceważenie indywidualnych praw ducha i o skalanie 99 owiec, które wszystkie równo Chrystusowi są drogic; oskarżam ich o ten szpital, pełen zwarjowanych i ugiętych materialną siłą fiksatów, oskarżam ich o to nareszcie, że **zropczali o samej Polsce i siłę jej nie zautali i wzgardzili jej sercem i hucami.**

Z dozwolenia bożego, jako **najczystszy i najwyższy duch przy sztandarze idei tej stoje,** a ustąpię wkrótce tysiącom wyższych odemnie, a słowami moimi zbudzonych ze snu duchów, które już urodzone są w ojczyźnie mojej. A to nie jako człowiek, któryby chciał na upokorzenie braci, nogę swoją postawić, ale jako syn Ojczyzny, nie widzący innego sposobu, jeno Ojczyznę cła, wsrzeszoną i żywą i zdrową...

Czas już, by te słowa wyszły z ciastoty specjalnych monografii i drogiach wydawnictwa, a stały się żywym, najpiękniejszym kwiatem w wieńcu chwaly Jul. Słowackiego.

Z. Zawisanka.

Juliusz Feldhorn.

Wiedza radosna

Kiedy stanął na rusztowaniu i wyczuł rękoma kamienny cios, w którym drżało utajone, w mózgu jego tętniące życie, ugiął się pod ogromem radości twórczej.

Wiosenne niebo uśmiechało się słodko, błyszczące motki uderzały w dole tak dzwicznie o twarde sklepienia portalu, że dziwić się musiał bolesnej twarzy Chrystusa, uspięniej jeszcze w jego wyobraźni, ale już wraz z nim górującej nad budzącem się miasteczkiem.

Ostatnie słowa inżyniera. Uścisk dłoni. Krótkie życzenie szczęścia. —

Więc nie było ono złudą długich, pracowitych dni, czerwonych gorączką niecierpliwości, a wręcz szarych, niezmierzonych szarych monotonią przygotowań? — To był jeno wstęp, preludjum przy opuszczonej zastójce, która nazbyt długo kryje sezamowe skarby piękna.

Ale to — już — minęło. Pozostał le dwie dostyśzalny, ostatni jęk jelenia umykającego przed pogonią, — chrząst łanuchów u dna weneckich kanałów, na których dźwięk błędnego panowie w ukwieconych gondolach a paniami wypadały z rąk koronkowe wachlarze. Falszywy ton — nie więcej! Świsł pękniętej struny na fleciche melodii śpiewanej przez ślepa harfistkę z Capri. — Jeden — fałszywy — ton!

A obok — szum błękitnego morza przyszłości, bijącego o tysiąc podziemnych grot. Ocieślał furkotanie wilgotnego żagla. Dłwczęta sunące z górną na szarych, powolnych mulach. Kosze pełne obrzniętych sokiem pomarańcz. I ta

ostatnia, która sypnęła mu w oczy twarde, jak lupiny pinjole.

Dlaczego musiał dziś myśleć o latach młodości, spędzonej na południu? Czyż to zapomniane wczora było czemś tak pięknym nawet w porównaniu z chwilą obecną? Czy nad białym zrebem kościoła rozpoczynał swe harce zwykły jego towarzyszy, szatan analogii?

Wtedy — widział przed sobą jeno czarny los Michała-Anioła. Pracę wielką i trud zabójczy — walkę z własną myślą, którą trzeba wiecznie odzierać z szat starych, — wyrąbywanie drogi w dziewiczym lesie rutyny spróchniałej, a ludzkiej łyskliwością fałszywych diamentów, a mamiącej w ciemnie tysiącem ruszczanych rak. (O, kręta ścieżko, wiodąca w nieskończoność!)

Teraz — (czuł to całem swem ciałem, jak wykwiatający na wschodzie dzień, jak zrab granitu, po którym biegły pieszczotliwie jego twórcze palce) — bolesne kontorsje karraryjskich marmurów były czemś, co miał za sobą. Był czasem pierwszego zwycięstwa. Stał na czele armii luskającej zbrojami, szczęśliwy kondotier królowej Adriatyki. Jutro zdobędzie ucztą wspaniałą hartowne serca żołnierzy, a potem uwięzi zbiorów nasłanych nań przez zgrzybiałą signorię i popłynie na sto galer na pałac dożów, w noc iluminowaną pożarem nawodnych wież i krążganków.

Zapadnie wieczór jego zaślubin z młodością.

Schodząc z drabiny, którą trzymał młody, barczysty murarz, dojrzał na czoło jego bielmo zaschniętego wapna.

Przyśniła mu się biała twarz w grzechach zwałonej Messyny, w prochu wapiennym i ceglanym. Beppo, który wieczorami na gitarze grywał pięknym, czarownym dziewczętem w bluszczowych oknach i altanach. Miał szczęście — kochali go i zazdrościli mu wszyscy artyści zbierający się w piwnicznej winiarni Cittino. Uśmiechały się doń dyskretnie smagłe, gibkie kobiety i czarne, błyszczące źrenice świecy za nim, jak gwiazdy, gdy szedł o zmierzchu wąskimi ulicami, gdzie ze spróchniałych murów zwały się festony dzikiego wina. Rankami wracał do różowej świetni pracowni, i pijany jeszcze pocałunkami i słodkim, czerwonym winem, malował — bolesne twarze Chrystusowe i białe Madonny, płaczące u grobu Syna.

Szczęśliwy, biedny Beppo!

U drzwi kościelnych zawałonych łosem, zabitych u góry deskami, stał ksiądz prałat z panami radnymi miasta. Był szereg małomiejskich grzeszności.

Z zagrodzonego wejścia świątyni wiał chłód wilgotny schnągęcego tynku.

Pracowite, długie dni wlokły się bez końca, wsiąkając w szare mury domków.

Rano budziło go stukanie melodyjne młotków, potem dzwonił dzwonek plebani i młody ksiądz-asystent przychodził witać go w imię Chrystusa i prosić na kawę z białą śmietanką, podawaną przez zawężną gospodynię.

Tuż za szybą był las rusztowań a dalej, oślepiająca smuga słońca i zrab klasztoru muru w ramach zieleni. Gdy otwierało okno pracowni, wpadały do niej pszczoły, jak wielkie, złote krople słońca

i krały dokoła kwiatów schnągęcych w kłosu na środku stołu.

Nie lubił kwiatów zerwanych. Blade łwie pyszczki, goździki strzępiaste i krągłe bratki, zebrane w nieforemna, psrą kulę i już owiane smutną żółtością konania, patrzyły nań z wyrzutem, jak gromady skażanców. Pamiętał ciemne kaptury zakonnic w przedniej, wykończonych nawie. — Zmierch rzucał rude refleksy na mury. Okna, w które nie wstawiono jeszcze witraży, lśniły martwo, jak białka greckich posągów. W stallach, rzucających ostro, jakby węglem rysowany cień, otwierało usta naiwne zdumienie.... Dziecięcy niepokój o rację bytu w świecie materji już uformowane.

A potem praca. Geometryczna struktura fryzów, rozmieszczenie boazerji ołtarza i szereg z gruba ociosanych brył, które zmienić się miały w białe, najświętsze posągi. I ta jedna, majacząca w wyobraźni wizja Zbawiciela na krzyżu.

O niej nie śnił teraz myśleć. Drogi wiecznego cierpienia odkrywały się duszy jego w krótkie dni jesieni, czerwone od wędzącego bluszczu i zórz zachodnich, zwiastunów wichru nocnego i długich, uporzeczonych wspomnień dzieciństwa.

Wtedy wychodził Pan z kościoła swego i szedł drogą na wzgórze, tą samą, która co dnia deptały jego stopy, aż do owej kępy lip i krzyża drewnianego na szczytce.

Teraz w lipach śpiewały ptaki i konie z nozdrzami przy ziemi wiozły ciężki wóz belek, lub wonne siano. Pasterze bydlę paśli na łakach okolicznych. Wiewiórki skakały po świerkach księżego lasku.

Tak wyglądała Gogota w wiosnę po krzyżowaniu.

Nie. Teraz nie śniął spojrzeć prosto w tajemniczą postać, która zjawiała mu się w ciemne noce. Widziadło miało już swe kontury, ale twarz jego była zakryta lekką mgłą. Mógłby ją zdumuchać jednym wyteżeniem uwagi.

Nie chciał. Teraz nie! Miał poczucie jakiegoś mającego się spełnić świętokradztwa. Było w nim tyle dumy i radości życia, w wszystkich jego formach. Ani krzyż zaświecenia, ani odrobiny rezygnacji! Potęgą burzy wiosennej, szczerze w srebrne krople deszczu, iluminującej świat ogniem sztucznym gromów — a niewiadomo skąd przyszedł, niewiadomo dokąd idący, skoro z za chmur wypłynę znów spokojny księżyc.

Przegwarzył z sobą krótką noc, wsluchany w niemilkłą melodię dżdżu chłodnego.

Z boku, daleko bił jakiś nieznan

dzwon, poważnym, jednobrzmiącym, jakby przez mur przesączonym pytaniem. Ostatni ślad oparów wsiąkał w ciemny błękit, nadając mu miejscami ton błędnego, matowego. W kościele ozwał się głos zmontowanych wczoraj organów.

Skrzyp żelaznej furty. Kłopot drewnianych sabatów po kamiennym chodniku, po błocie krótkiej alei, rozlewający się w głuchym dudnieniu dalekich sklepień. Mniszki z klasztoru szły na poranną modlitwę.

Dziwny, uparty, średniowieczny nast

Objeżdżał się poza siebie. Za odchylono

Występy opery katowickiej.

I.

Do pozbawionego stałej opery Krakowa zjechał zespół opery katowickiej, który za inauguracyjny cykl przedstawień nieśmiertelnym dziełem Moniuszki „Halkę”. Wykonanie jej stało na wcale wysokim poziomie. Śpiewająca tytułową rolę L. Zamorska jest obecnie bezsprzecznie najpierwszą wykonawczynią partii „Halki”, tak pod względem głosowym, jak i aktorskim. Reżyser „Halki” jak i dalszych oper J. Stepiński, przypomniał się nam jako Jontek, wykazując dużą rutynę śpiewacza. Partie stolnika i Janusza powierzono A. Mazankowi i E. Narożnemu, sumiennie wywiązującym się z powierzonych im zadań. W drugiej z rzędu operze „Strasnym Dworze” zwrócił na siebie uwagę St. Drabik (Stefan) silnym w głosie tenorem. Do udatnej całości przyczynili się L. Zamorska (Hanna), J. Chodakowska (Jadwiga), L. Jaworzyńska (Cześniłowa), E. Narożny (mieczyński) i A. Mazanek (Zbigniew). Część muzyczną obu oper przygotował starannie doświadczony dyrektor St. Barański.

O „Pomście Jontkowej”, Bolesława Walke-Walewskiego, miałem możność skreślić kilka zdań przy sposobności premiery jej w Poznaniu 16. X. ub. roku. Dzieło to, oparte na rdzennie polskich motywach ludowych, o niezwykle oryginalnej harmonizacji i świetnej, nieprzejaskrawionej instrumentacji powinno być włączonym do żelaznego repertuaru wszystkich scen operowych w Polsce. Za granicą może godnie reprezentować wykwit naszej twórczości modernistycznej w zakresie opery. Najcielejszymi ustępami w „Pomście” są: burza z końcem aktu pierwszego, chór i taniec w akcie drugim, wreszcie w akcie czwartym, monolog na tle chóru a capella, duet i przejmujący artystyczna groza finału. Jedynie duet Heleny i Wacława w akcie pierwszym, nie wpływający na ciągłość akcji, znamionuje nieznaczne zresztą, chwilowe obniżenie lotu kompozytora. W dramacie muzycznym Walewskiego wyróżnili się: A. Karpacki, dysponowany wokalnie i aktorsko w partii Janosika, J. Stepiński (Jontek) oraz L. Jaworzyńska (Jagusia). Obsady dopełnili skutecznie A. Lubicz, K. Wolska-Sobańska, A. Mazanek i J. Romanowski. Stronę muzyczną wyczłował kierownik opery i dyrygent Milan Zuma. Znakomitemu kompozytorowi zgrotowano zasłużoną owację, może zbyt skromną w stosunku do wartości „Pomsty”.

„Lakmé” Leona Delibes’a, opera o bogatej inwencji melodyjnej dała możność primadonnie opery L. Zamorskiej do okazania precyzyjnego, rozległego, koloraturowego soprano przy doskonałym, dramatycznym oprowadzaniu postaci dziewczęcia hinduskiego. W tej roli korzystne warunki zewnętrzne predestynują talentowaną artystkę do roli Lakmé. W osobie L. Reychana, wykonawcy bramina Nilakanty poznaliśmy uzdolnionego baba-barytona, którego głos w całej pełni rozbrzmiewa w sferze dolnych dźwięków. Pożyteczną siłą okazał się A. Kopuszewski (Fryderyk). Partię Geralda odspiewał z uczuciem St. Drabik. Orkiestra pod kierunkiem M. Zuni bez zarzutu.

Dramat muzyczny Eug. D’Alberta „Niziny” można nazwać uszczytnionym i uzłoszczonym poematem symfonicznym. Punkt ciężkości w „Nizinach” spoczywa na orkiestrze, śpiewacy nie mają w utworze wielkiego werysty pola do popisu. Toteż postaci Marty (L. Zamorska), Pedra (J. Stepiński) i don Sebastiana (L. Reychan) przemawiają bardziej do przekonania stroną dramatyczną, świetnie przez trójkę wyżej wymienionych artystów uwydatnioną. Chóry

„Energia wszechświata brzmi nieustannie, brzmi nieskończenie wśród przestrzeni i czasu. Jej objawienie, rytm, z prawa Bożego płynie porządku, utrzymuje ład światów, Melodie Boga płyną nieprzerwanie po gwiazdnych obszarach, po mlecznych drogach, po światłach, zaświatach, po ludzkich i nadludzkich dziedzinach, tworząc ten zespół cudny, wiekiuisty: harmonie wszechbytu. Powstają ludzie i narody, gwiazdy, słońca, światy, by brzmieć, by dźwięczeć, a gdy ucienna, życie ich gaśnie. Wszystko gra, śpiewa, mówi, Wszystko — tylko własnym ruchem, własnym głosem i mową własną”. — W pięknych tych wyrazach znakomity nasz mistrz tonów (I. Paderewski w przemówieniu swem, wygłoszonym w r. 1910) ujął nie tylko poezję muzyki, lecz i jej metafizykę, dał określenie istoty muzyki tak prawdziwe, że mógłby podpisać się pod nim filozof i matematyk, — i podpisać się, atoli zażądał przedtem dowodu prawdziwości. Dowód taki, na szczęście, dał już Hoene-Wroński.

Tajemnica muzyki ukryta jest przede wszystkim w gamie muzycznej, która w sposób wyczerpujący wyraża ciąg ilości dźwiękowych, wyprowadzających się jedne z drugich według pewnego prawa. Gama jest typem cyklu ewolucyjnego, jak koło jest typem wyobrażenia. Historia muzyki wykazuje, że w świecie całym obręb okawy zawiera 8 dźwięków, uszeregowanych prawie w jednakowy sposób co do wysokości dźwięków czyli do ich częstotliwości. Gdy na drodze empirycznej zbadano budowę gamy, spostrzeżono, że ma się do czynienia ze stosunkami dość prostymi, stał wywnioskowano, że właśnie stosunki proste mają wartość estetyczną, ponieważ dają się analizować bez wysiłku; wniosek słuszny tylko częściowo, gdyż podlega wyjaśnieniu, jakie stosunki należy uważać za proste, a tak postawione zagadnienie wkracza już do dziedziny metafizyki. Toteż Fetis, znakomity muzykolog i kompozytor, twierdził, że zasada muzyki musi być metafizyczna, lecz nie widział możliwości wykrycia takiej zasady i radził zjawiska harmonii i melodii przyjmować wprost jako wyniki naszej organizacji, nawyków i wychowania. Taką zasadę metafizyczną dał Hoene-Wroński, opierając się na wykrytem poprzednio przez siebie Prawie Stworzenia, u podstawy któ-

rego założona jest zasada trójjednej składników rzeczywistości (element-byt, element-wiedza i element podstawowy albo neutralny).

Muzyka polega na podziale estetycznym czasu; podział ten zawiera dwie zasady różnorodne: jedna zakłada systemat nieskończony tonacji, zależny od bezwładu albo warunków fizycznych tonu, druga zakłada systemat skończony tonacji, zależny od samorządności albo warunków intelektualnych tonu. Pierwsza zasada dotyczy podziału fizycznego, zapewniającego stałość jednostki miary; każdy dźwięk muzyczny idzie izochroniczność dźwięków kolejnych, — tu znajduje się zasada fizyczna stałości, znamionująca byt w każdej rzeczy; zasada ta utrzymuje się przez prawo Fouriera, czyli prawo dźwięków harmonicznych. Druga zasada, przeciwna pierwszej, znamionująca wiedzę, polega na porównaniu dźwięków między sobą; tu nie chodzi już o wartości absolutne dźwięków, lecz o ich wartości względne. — Dwie te zasady, rdzenie różnorodne, przystosowują się jedna do drugiej za pomocą zasady trzeciej, wyrażającej warunki antropologiczne: dzięki pewnemu minimum uchwytliwości wydają się dla nas znośnymi albo pozostają słuchowo niepostrzeżonymi pewne odchylenia dźwięków harmonicznych od dźwięków, wytworzonych za pośrednictwem podstawy zmiennej.

W wyniku swych rozważań doszedł Hoene-Wroński do pobudowy prawdziwej gamy diatonicznej (o 12 dźwiękach), w której temperatura jest zbędna, bowiem wszystkie interwały są prawie równe. — Koncepcja ta Hoene-Wrońskiego i otrzymana gama odsłoniły bardzo ścisły związek praw muzyki z pojęciami metafizyki, dotyczącymi czasu i przestrzeni: 1) Znacze w psychologii prawo Webera, że podnięciem zewnętrznym, wzrastającym w postępie geometrycznym odpowiadają wrażenia, wzrastające w postępie arytmetycznym, albo krócej, że wrażenie mierzy się logarytmem podnięty fizycznej wrażenia zmysłowego, wyraża w muzyce różnorodność absolutną praw akustycznych i praw muzycznych. Nasze odczucie muzyczne jest niejako przekładnią logarytmiczną stosunków dźwięków: jeżeli muzyk mówi, że tercja mała, dodana do tercji wielkiej, daje kwintę, to jego dodawanie muzyczne odpowiada mnożeniu arytmetycz-

nemu ($6/5 \times 5/4 = 3/2$). Przez takie powiązanie wrażenia i podnięty za pomocą wzoru logarytmicznego nieskończoność najlepiej przystosowuje się do zesrodkowania ściśnienia w naszej organizacji skończoności, staje się możliwą dla nas intuicją nieskończoności. 2) Na gamę Hoene-Wrońskiego, t. j. na prawdziwą gamę diatoniczną, składają się liczby rytmiczne (liczby pierwsze 1, 2, 3, 5, 17, zaś liczby 7, 11, 13 w muzyce są wykluczone), co ma związek z podziałem koła na różne części za pomocą liniału i cyrkla (t. zw. twierdzenie Gaussa), czyli co okazuje, że pokrewieństwo liczb w potęgach 2-ch odpowiada pojęciu rytmu.

Pomysły te Hoene-Wrońskiego, znane tylko w części, bowiem jego filozofia muzyki spoczywa dotychczas w rękopisie, były rozwijane i opracowywane we Francji: C. Durutte, matematyk, kompozytor i muzykolog, gorliwy uczeń Hoene-Wrońskiego, zastosował zasady Hoene-Wrońskiego do teorii akordów; Ch. Henry, który zmarł w roku bieżącym, bliżej określił psychofizyczną naturę rytmu i okazał stosunek, jaki zachodzi pomiędzy pobudową gamy a podziałem koła na równe części; E. Britt zastosował naukę Hoene-Wrońskiego do badania gam narodów starożytnych (przeważnie greków) i zapowiada dalsze swe prace nad filozofią muzyki w duchu Hoene-Wrońskiego; praca Britta została przetłumaczona na język niemiecki przez znakomitego muzykologa, kompozytora i dyrygenta Wein-gartnera, oraz na język angielski; F. War-rain napisał piękną i głęboką pracę o koncepcji psycho-fizycznej gamy, gdzie podnosi zasługi Hoene-Wrońskiego; u nas tylko inż. Witkowski z pewnym przygotowaniem poruszył poglądy Hoene-Wrońskiego z dziedziny filozofii muzyki.

Istota muzyki pociągała uwagę niektórych wybitnych matematyków oddawna (Pytagoras, Leibniz, d’Alembert, Vandermonde, Euler, Helmholtz), lecz tylko wysiłki Hoene-Wrońskiego zostały uwiecznione świetnym wynikiem — pobudowa a priori gamy muzycznej. Toteż, Gounod, słynny kompozytor Fausta, wielbiciel Hoene-Wrońskiego i czciciel jego geniuszu, oceniając ten wynik, na kamieniu pomnikiem naszego mędrca w Neuilly kazał wyrzeźbić słowa: „Erit sepulchrum ejus gloriosum”.

Paulin Chomicz.

SPROSTOWANIE.

W artykule K. Czachowskiego: „Wśród nowych prac o Słowackim” w nrze 34 „Gazety Literackiej” wkładły się dwie pomyłki druku, niezauważone w korekcie. O „próbie syntezy” Janika ma być: „nazbyt apologetyczna”; o Tadeuszu Grabowskim: „badacz literatury różnowerczej”.

Sprostowanie. Złotliwy chochlik zecerski znowu splątał figla. W wierszu Marijana Sewiego „W Szwajcarii” (13-ty nr „Gaz. Lit.”) przemienił słowo ogromnie (smutno) na okropnie.

Książki nadesłane.

Królowi Duchowi na dniu powrotu — Teatr Miejski im. J. Słowackiego, Kraków 1927. Redagował Tad. Świątek, wydał Teatr Miejski im. J. Słowackiego w Krakowie. Zawiera art.: Dwie premjery „Mazepy” — St. Estreicher; Noc czerwona z MCMXXVII (wiersz) — E. Żegadłowicz; Inscenizacja dramatów Słowackiego w latach 1899—1905 — J. Kotarbiński; O dekoracjach Słowackiego — Fr. Siedlecki; Studcie romantyzmu (Cromwell—Balladyna) — Miecz. Brahmer; O „Balladynie”; Słowacki o teatrze; Obsady i sta-

tystyka (I. W. w starym gmachu, II w nowym gmachu).

T. M. Nittman — W cieniu palm i minaretów — Poznań — Nakł. Księg. św. Wojciecha, str. 222. Ferdynand Goetel — Humoreski — Naki, Gebethner i Wolf, Warszawa 1927, str. 249.

Stanisław Ignacy Witkiewicz — Pożegnanie jesieni (powieść) Warszawa 1927 nakł. F. Hoelsicka, str. 450.

W skład redakcji „Gazety Literackiej” weszli pp. Kazimierz Czachowski i Tadeusz Kudliński.

zachwiał się nieładnie w pierwszym akcie, orkiestra poza drobnymi usterekami (finał prologu) pokonała zwycięsko piętrzące się przeszkody, szczególnie w akcie pierwszym.

Dotychczasowa gościna zespołu katowickiego dostarczyła nam szeregu dodatków, nie kiedy nawet podniosłych wrażeń. Niemila planą w całości wykonywanych dzieł operowych jest strona baletowa. Życzę serdecznie kierownikowi baletu, aby los oka-

zał się dlań na tyle łaskawczy, pozwalając mu oglądać prawdziwe tańce góralskie, lub utrzymanego w myśli tradycji, szczerzego mazura. Choreografia, która zademonstrowała nam balet katowicki, przypomina uślośniania i to niefortunne, zespołów zagranicznych, próbujących akcesoriami i krzyk braku najprymitywniejszych znajomości tańców polskich. Publiczność krakowka nieprzewożnicie wstrzemięźliwa, gdy chodzi o reagowanie na głosy śpiewaków lub dźwięki

orkiestry, posuwa swój bezkrytycyzm w kwestjach zaletowych do tego stopnia, że żądając powtórzenia mazura (w „Strasnym dworze”), zagłasza odczytujący się po ukończeniu baletu chór. Chyba to zatruwające umiłowanie namiastki ewolucji tanecznych wpłynęło na znikomą ilość audytów i na „Nizinach”, odznaczających się przedzielnymi ta dodatkami (w tym wypadku) stroną, że pozbawione są części baletowej.

Wiesław Gorecki.

WŁODZIMIERZ LEWIK.

Tragiczny wiersz.

A czy ty, co schylony ponad paleniskiem ocierasz brudną dłoń po z plonącej twarzy i w suchu wdechasz płuca rosnący żar iskier, którym karmię Cię ogień — Twój wieczny towarzysz — i ty — wciśnięty w zamroczonej sylwetki, co pośród czarnych błysków — skróś węglowej ściany

wwierasz się w trzewia ziemi — ogłuchły niewolnik — i ty — roznosicielu gazet zadyszany; — Woźnico — wrosły w kozioł nieruchomym garbem

i Wy, dziewczki fabryczne, co w chemicznej pralni ostatek krwi na żrącą zameniacie farbę — Wy jałmużnicy ślepi — i woźni biuralni — czy wy — przechodnie smętni — o których nikt nie wie —

o ludzie — wyszarzali w dni szarych zalew — wykreślił z żyjących — jednak żywi przecie, — ludzie — którym przekleństwo codzienną jest strawą —

o ludzie — ja Was pytam dziś — o — czy Wy wiecie —

że myśmy dali Wam do piękna prawo? — Żeśmy rzucili dla Was kapłański piedestał, który nam w świętym trudzie ojcowie wykuli — że każdy z nas dziś magiem samotnym być przestał —

że my się spotykamy dziś na rogach ulic — nam piersi grają wrzawą skotlowanych słów — a usza je na płynne zameniają złoto — kiedy Wy śpicie — nocą idziemy na łów — i na palcach ku Waszym skradamy się wrotom — zobaczycie nas w knajpach i w fabrycznej kaźni — w tramwajach i w teatrze nad spiętrzeniem łóż —

Zobaczycie nas wszędzie — jak — hardzi pod różni

jak — duchy przebiegamy całą Polskę wzdłuż, — noc nas nie znuży — a wybraskłem ranem z oczyma ziskrzonymi — zaciśnięciem ust mówimy do Was ludzie słowem potarganym — jak na głowie żołnierza strzęp skrwawionych chust.

a Wy nie chcecie przyjąć mowy naszej pieszczot —

wieć ja wam brzyznę w oczy oszalałym wstydem i na kamiennym brusie słów zaostre brzeszczot — wieć to ja dziś jeszcze do Was — odepchnięty — przyjde

aby Wam — ot — na czoła pobladłe i magie rzucić ten wiersz mój — jak plonącą żagiew.

RICHARD WHITE.

* * *

Mgła się żrenice śnieżystych gwiazd azalii i mdleją kwiaty wyschłe bezzemnem znużeniem — czemużem hartu korzenie żelazem trwogi prze-

pał i znów się stałem słaby i znów się stałem cieniem — mdleje i szumi snem rozkwitły kwiat azalii... Szklany kielich owiwa tęczą skronie kwiatu, na dnie jego jak szmaragd się pluszcze nadzieja i z mgłą tych sennych żrenic gwiazdzistych, co mdleją

w obłok się splata.

Saczy się światło zielone za oknem rozplynięte, Pójdę, jak drżący promień, minę dziwaczne zakrety

udam bladeński uśmiech myśli półdziesiętnych powieki maska przysłonię, z rzes pył tęsknoty stracę —

óć żrenice zdradzić nie powinny — — — jakie to bardzo dziwne, jakie fascynujące...

czudziemiście wypowiedzi słowa a dno mych oczodołów znać szmaragd płynny elizejskim pajęczynowym opłatanym snem.

Biała azalia przedemną o stu pochylonych głowach

— imię jej ktoś wymówił — — —

— pieśnią plakałem cichnąca: „Eyes!... jour dangerons eyes!... I like to lock at them!”

kły, długi marsz w jesiennym dżdżu, obok szkieletów chałup...

Daleki, jakby podziemny, przeciągły huk. Bagnety czerwono-błęszczą łuną. Parę strzaskanych wierzb świeci białoróżowo, jak wyprute wnętrzości.

Trzask krótkiej salwy — tuż, tuż — z lewej strony — i z prawej — jęki nadlatujących szrapneli. Linia tyralerska znikająca za węglem boru. Skok naprzód. — Walka z niewidzialnym wrogiem — krótka — pełna karabinowych huków — i znów — chyłkiem — twarzą ku łunie — ku czarnym polom — wzgórzom — w tył — z palcem na cynglu — z głową zdrętwiałą — i zimmem podchodzącą do serca.

I jeszcze — i wciąż — pustka odwrotów — pochodów — odwrotów....

Miał wrażenie jednostajnej nieskończoności przykrego snu.

* * *

Aż raz — znów — jazda w wagonie dusznym, dymiącym wyziewami, jak stajnia — długa jazda w niewiadomym celu i kierunku. Sen długi, ciężki, jak zmora dusząca, pod lepkim, przemokłym płaszczem. Czerwone zachody w okienkach o szybach wybitych — czarne wzgórze lecące w tył — w tył. Łoskot kół. Wstrząsy.

Kwiaty, ciemne, nie lubiane, wędzące w jakimś prostym, szklanym kłosku — zdążył mi się najwyższemu ziszczeniem piękna. — I słodki grzech radosnego cierpienia ucieleśniony w jasnej postaci Ukrzyżowanego....

Cienie słupów telegraficznych znaczą skoki jego myśli.

Był tak daleki od świata żywych glazów, tępniących pod reką, jak wszechświat w palcach Twórcy. — Ziemia stała się ciemna, błotnista norą zażartych potworów, bez woli, bez siły....

I jedna, niezmożona, ostateczna logika pochodów, — odwrotów, — pochodów....

* * *

Nad ranem zachrypiały hamulce.

Z rumowiska stacji dymiło jeszcze. Na drodze leżały dwa trupy końskie. Jakieś nogi w podkutych, żołnierskich butach wystawały z rowu, jak drogowyskaz. Z poza szereg murów wyglądały wypięte cielska ciężkich armat.

Ciche rozkazy biły skrzydłami, jak nietoperze. Oddział rozsznuwał się pajęczą siecią po wilgotnej płaszczyźnie i sunął naprzód. Wagon przytulone do wzgórz zniknęły, jak rysunek zatarty po ciagnięciu pedzla. Żółty pas na wschodzie, przedarty ostrym klinem jakiejś wieży, przypominał dwa równoległe, mistyczne myślniki.

Ogarniała go dziwna, biała gorączka. W prawo i w lewo wzgórze przypominały coś, czego pojąć nie mógł. — Wycięty fragment znanego obrazu. — Jakieś wezora — święto pracy — jasne, jak pożar mitycznego miasta. Wzgórze, na które w odwieczny wyjeżdżały wozy ładowe sianem, a nocą wstępował Bóg.

Wzdłuż i w poprzek ziały wilgotne rany opuszczonych rowów strzeleckich. Uśmiechała się boleśnię twarz znana kraj- obrazu, nagle postarzała, zniszczona, chora. — Krzyż bez ramion na szczycie.

otoczony kikutami bezlistnych pni — jak grupa złamanych szubienic.

Nim doszedł do stóp zbocza, wiedział już. Ciało kurczyło się pod nagłą falą świętego przerażenia. Jak patnik, nabożnie, zstępował, w świat swego snu o sławie.

Wieża kościelna wołała ku sobie rozkazem ostrych, spadzistych ścian. Krwawy świt połączył się nad jej szczytem oponą szkarlatu.

Czarna arka na morzu płomieni.

* * *

Pociski ryły grunt o sto kroków w tył. Linia żołnierzy przypadła do ziemi. Wyszczerebiony mur klasztornej ogrodu wchodził klinem w posuwający się szereg. Dalej grzmiał rechot karabinowych salw. Fala zwinęła się, cofnęła — i znów skłębiła się wprzód. Granaty z rykiem runęły w ogród.

Przywarł ciałem do ziemi. Tuż przed nim słup czarnego pyłu — huk, wstrząs. O dwadzieścia kroków mur ział szeroką wyrwą. W pyłe wily się ciała walczących ludzi. Z boków, z tyłu wybiegali pojedynczo i rzucali się w wir.

Uderzył pierśią o coś twardego, co ustępowało przed nim, jak otwierająca się powoli brama. Bagnet zarył się w miękką masę ciała. Na policzku uczuł dmuchnięcie żelaznego płomienia. Przed nim, za nim wily dziesiątki głosów. Strzaskane pnie podrygiwały w upiornym tańcu — chwały się ostatnie dwa słupy zwalonego krążanku, pył ceglany chwytął za gardziel, straszliwe plugi pocisków orały kwietne grządki....

— — — — —
Walka cichła. Ludzie skryli się w załomach murów, pył opadał. — Pociski pobiegły gdzieś dalej, naprzód. —

* * *

Wyrzwał na pusty plac.

W słońcu dymły lachy krwi na wyrwanych kamieniach chodników. Naprzeciw stał spokojny, wyniosły kościół. W oknach wieży wyloty karabinów. — Chwila ciszy.

Ktoś zaklął — ktoś jęczał owiazując skrwawione czoło...

Nagle z tyłu zagrzmiął armaty. Zadygotał się plac przed kościołem, posypały gruz.

W górze — jego Chrystus biały, wyciągał ręce z uśmiechem. W Niego mierzyły działa, w Niego biły setki karabinów...

Portal zwałił się jak podcięty kosa, i nagle — tam — wysoko — nad placem, klasztorem i konającym miasteczkiem — Chrystus oderwał dłonie od krzyża — złożył je ku górze — i — spadł!

Wtedy porzucił swe ukrycie, wstał i poszedł. (Ktoś krzyknął, ktoś chciał zatrzymać).

Szedł przez plac bombardowany baterią armat, naprzeciw karabinom nieprzyjaciela, prosto, spokojnie, już cichy i uśmiechnięty.

Wiedział, że dojdzie. Z okien gruchnęła salwa, lewa ręka zwiśla bezwładnie, z policzka płynęła krew.

Patrzył w posąg leżący na białych, marmurowych stopniach, zdjęty z krzy-

ża pociskiem. Schylił się. Podniósł jedno złamane ramię. — Jeszcze krótko. —

Fala gorąca spłynęła nań z góry, przybiła do ziemi. Uszy przeszył jeden straszliwy szum, jeno oczy szeroko rozwarte widziały przez chwilę, jak wieża kościelna chwieje się, chyli — i rozpada na kawały.

A potem nagle — cisza. Nie czuł bólu, jeno spokojna, słodka, wzmagająca się słabość. (Biedny, biedny Beppo w gruzach zwalonej Messyny!)

Obok niego, — tuż, — prosty, uśmiechnięty Chrystus, z dłonią w jego dłoni.

Armaty huczały, jak organy. Światło słoneczne bladeło przesłonięte mgłą wiatru.

(Szczęśliwy, biedny Beppo!...)

Do kogo modliły się fale oceanu w noc burzliwą?

Na tle słońca krwawego, przekreślonego smugą chmur, wynurzał się z morza On, rozpięty na czarnym krzyżu.

Ocean pił krople Boskiej Jego krwi.

Krople spadały w klepsydre wieków.

Uderzenia serca drżały u stóp migo-

żliwych gwiazd.

(Czy to minął ciemny maszt rybackiego żaglowca wracającego z połowu?)

Dlaczego uśmiechasz się, Chryste?

Dlaczego palce Twoje zwarte są wokół mej dłoni?

Dzięki Ci, Panie! Poznałem już tajemę radosnej wiedzy cierpienia!

— — — — —

Wtedy — na chwilę — spoczęły na nim dobre, szare oczy Boga.

Redaktor odpowiedzialny: ADAM POLEWKA.

Redaktor naczelny i wydawca: JERZY BRAUN. —

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm szerokości 1 szpalty na ostatniej stronie 25 groszy, na innych 50% drożej.

Śląskie Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Polonia” Sp. Akc. w Katowicach.